57/50

zesz. 20.

Odłamy w rękawicy II

VI. Rateče.

Od dnia 6 stycznia 1916 byliśmy już w etapach, Etappenraum. Miało to pewne znaczenie, bo w etapach obowiązuje już tajemnica wojenna, jest przymus przemilczania nazwy miejscowości, którą zastępuje się formułką: Feldpost 53, jest również przywilej pisania nieopłaconych kartek i listów. Za to jednak korrespondencye wszystkie muszą przechodzić przez cenzurę pułkową. Czas służby polowej liczy się od dnia wyjazdu w etapy, u mnie zatem od 4 stycznia 1916.

Miejscowość, w której nas umieszczono, nazywa się Rateče, po niemiecku Ratschach i leży w ostatnim skrawku Krainy, niedaleko granicy korutańskiej. Najbliższą stacyą kolejową jest Bela Peč, po niemiecku Weissenfels, ~~[illegible]~~ odległe o jakie 4 kilometry, a do miasta powiatowego Kranjska Gora, po niemiecku Kronau, może będzie ~~[illegible]~~ 6 kilometrów. Ratecze leżą na przejściu między średniemi i wielkiemi górami, których rozmiarów nie umiem podać. Góry, objmujące wieś, przypominają kształtem i wysokością Karpaty żywieckie, z tą różnicą, że na zachód sterczą ponad temi górami skaliste szczyty dalszych łańcuchów górskich: Alp Julijskich.

Czytałem i na podstawie statystyki wiem, że Kraina jest najczyściej słowieńskim krajem w Alpach. Dlaczego jednak wszystkie miejscowości mają obrzydliwe nazwiska niemieckie, ~~dlaczego~~ pod których skrzydłami niezmiało tylko tulą się pierwotne nazwy słoweńskie, dlaczego tablice oryentacyjne po najzapadlejszych zaułkach jaskrawią się niemczyzną, którą nikt od urodzenia nie włada, niech to wyjaśni austryacki system rządowy. Z radością stwierdziłem, że u nas w Galicyi jest pod tym przynajmniej względem lepiej.

Kompanię naszą rozmieszczono niedaleko placyku, który może uchodzić za środek wioski. Trzy plutony znalazły pomieszczenie w szopach, przeznaczonych właściwie na siano i wyszalowanych tylko pionowemi deskami, które zastępowały ściany. W tych szopach poczyniono z desek ~~po~~ tuż nad ziemią niby olbrzymie półki, ~~tak~~ szerokie na długość człowieka, zostawiając między niemi tylko korytarzyk w środku i te służyły za legowisko ludziom. Nad taką przyziemną półką wznosiła się na palach w wysokości może metra druga taka półka, tworząc niby piętro na legowisko dla innych. W ten sposób w niewielkiej chłopskiej szopce, krytej łupkiem, można było rozłożyć ponad 60 ludzi.

Ale przeciw zimnu nie było tam żadnego zabezpieczenia. Przez szczelinowate ściany wdzierał się mróz, a że na deskach, służących za „prycze" nie było słomy, z obawy przed rozmnożeniem się robactwa, więc zimno ściskało żołnierza ze wszystkich stron. Były wprawdzie w środku szop żelazne piecyki, lecz te nie dawały ciepła, a przynajmniej nie rozprowadzały go po całym budynku.

Na szczęście styczeń był wyjątkowo ciepły i prawie bezśnieżny, więc w dzień było prawie całkiem ciepło. W nocy natomiast mróz dociskał. Wkrótce żołnierze nanieśli choinek szpilkowych i wymościli niemi swoje legowiska. Gałązki te stawiały opór zimnu, dojmującemu z dołu, jako też nie sprzyjały rozmnożeniu się plugastwa. Wnet jednak pod wpływem ucisku leżących i ciepła ciał szpilki odpadały i po kilku dniach żołnierze leżeli na prętach. Trzeba było te choinki często odnawiać, a czasu na to nie dawano. To też na noc zazwyczaj tworzyły się pary żołnierzy, które zawijały się razem w cztery koce, powiększając ciepło.

Kaprale i plutonowi mieli odrębne prycze, wypełnione heblowinami, które nosiły szumne nazwisko „Holzwolle".

Nasz pluton zatem mógł mówić o szczęściu, a zwłaszcza ja, bo nas dziesięciu pod wodzą jednorocznego Kaprala Madera ulokowano w domku №: 70 którego okna wychodziły na placyk wzmiankowany. Zaraz też zakupiłem kilka snopów słomy u naszego gospodarza i tak legiwaliśmy wprawdzie pokotem na podłodze, ale przecież na słomie, którą się na dzień wynosiło.

Nasz gospodarz nazywał się Josip Mežik i był robotnikiem w Bela Peč. Jako taki, mimo iż był wyćwiczonym żołnierzem i że w wojsku dosłużył się godności Gefreitera, był uwolniony od służby wojskowej jako potrzebny w tartaku, dla wojska pracującym. Był to stary kawaler, mający obok siebie siostrę więcej niż 40letnią, również niewydaną, tudzież staruszka ojca i staruszkę matkę. Starzy legiwał na piecu, kobiety w pokoiku, który się znajdował za piecem.

Dom jego składał się z szerokiej sieni i izby z ogromnym alkierzykiem, ~~do~~ których ~~w~~ dalszym ciągiem była szeroka obora z bydłem rogatem. Nad oborą strych na siano i słomę. Ludność Rateczy prawie całkiem nie uprawia zboża, ~~oprócz~~ chyba tylko kartofle: żywi się dochodami z bydła, którego trzyma dużo. Nie mając słomy na podściółkę, trzyma niestety bydło w jego własnym gnoju, który oblepia biedne krowy ohydną skorupą i daje osobliwy fetor, rozcieńczony zapachem mleka. Z przyczyny tego zaduchu nie odważyłem się nigdy na mleko, mimo wielkiej ochoty. Nie widziałem ich robiących masło, więc nie wiem, co poczynają z mlekiem, którego nie widać, mimo obfitych udojów. ~~Moi mowy~~ Hodują też wieprze i zabijają ich kilka do roku na tak wyłącznie własny użytek, że nie można było kupić żadnej kiełbasy lub wędliny, oprócz sprowadzanych umyślnie z Lublany salami. Kiedy sobie u żony gospodarskiego wyrobiłem specyalną protekcyę i dopilnowałem bicia wieprza, mogłem z łaski i w wielkiej tajemnicy kupić dwa obwarzanki domowej kiełbaski.

Chleb widziałem ohydny, nie wiem z jakiej mieszaniny pieczony – po zapachu i barwie domyśliłem się jęczmienia z ziemniakami. Skarżyli się też wszyscy na niemożność sprowadzania mąki.

Wikt ~~ich~~ naszych gospodarstwa był taki: Rano czarna kawa konserwowa, a więc surrogat kawowy z chlebem. W południe jakaś nieznana mi zupa i ziemniaki; a wieczorem kawa i polenta. Zresztą ziemniaki i polenta wymieniały się. Używali też kiełbasy, wędliny i smalcu jako omasty, natomiast nie widziałem ich gotujących mięso wieprzowe.

Domki w Rateczach nie są ładne, budowane z łamanego kamienia i tynkowane. Jak zwykle w górach zabudowanie jest gęste i zostawia wąskie, a nieregularne przejścia między domami. Z powodu nierówności terenu przeważa typ domku parterowego z jednej strony, a piętrowego z drugiej, przyczem parter służy za oborę, a piętro za mieszkanie i strych czy wyżej. Było przy naszym placyku dwa czy trzy domki naprawdę piętrowe, choć niziutkie. W jednym z nich, właśnie wprost naprzeciw nas mieściła się na dole gospoda, na górze kuchnia oficerów „Offiziersmesse." Zaledwie na krańcach wioski znajdowały się obejścia, posiadające coś podobnego do małych zabudowań gospodarskich, bo w środku gęstej osady jeden dach pokrywał wszystko.

W tej wiosce przepędziliśmy półtora miesiąca. Mój pobyt w niej rozpoczął się pod niezbyt zachęcającemi auspicyami. Zaraz po przyjeździe nie mieliśmy rano 6. I żadnego zatrudnienia, bo nas rozkwaterowano po kwaterach. Pozwalano zresztą żołnierzom rozejrzeć się, wypocząć i kto mógł, urządzić się.

Popołudniu jednak odkomenderowano wszystkich na dworzec w Bela Tecz po „fasunek". Nikomu nie wolno zostać w osadzie, oprócz będących w służbie. Wybrałem się i ja, rozważając, co mi też każą dźwigać? Na szczęście prowadził kompanię aspirant Honza, który ~~do~~strzegłszy mnie, powiedział, iż mam udawać nadzorującego (Aufsichtscharge) a nie nosić ciężary. Niemniej musiałem kilkakrotnie spacer z Bela Tecz do Ratecz odbyć. Braliśmy na kolei kije góralskie, żelazne kolce pod buty, celem zapobieżenia ślizganiu się, oraz papucie słomiane na buty, dla izolowania stóp od śniegu w razie pełnienia ~~warty~~ pieca, warty itp.

Otóż na dworcu Bela Tecz pracowali jeńcy rosyjscy, a że zbliżał się wieczór, nadchodziły ich gromady. Kapral Grudziński, dojrzawszy jednego Rosyanina blisko, zawiązał z nim rozmowę, a gdy mu szło zbyt ciężko, wmieszałem się i ja, aby moimi okruchami rosyjszczyzny przecież czegoś się dowiedzieć. Był rodem z gubernii podolskiej, niedaleko Kamieńca, a znał nazwisko Tarnopol. Kiedyśmy go chcieli wypytać o miejsce i czas zabrania, feldwebel Kaltenböck, ~~nal~~ nienależący do naszej kompanii, dojrzał nas z pomostu magazynowego i wziął rzucać wyzwiska w niebogłosy. Grudziński zaszył się w tłum żołnierzy, ale mnie specyalnie pan feldwebel wezwał przed siebie, wołając: „Sie Einjähriger!"

Widziałem feldwebla pierwszy raz w życiu. Jakim sposobem on mógł mnie kiedyś pierwej ujrzeć i tak zapamiętać, że teraz pod wieczór, przy oślepiającem słońcu zachodniem, odbijającem się o biały śnieg, mógł mnie zdaleka poznać? Kiedym stanął przed nim, wytrzeszczył na mnie oczy kąśliwego psa i wziął rzucać, że z jeńcami rosyjskiemi wogóle nie wolno rozmawiać, ale mnie specyalnie to nie uchodzi, „Sie wissen schon warum" dodał ze znaczącem spojrzeniem.

A więc jestem pod nadzorem policyjnym nietylko starszych z mojej kompanii i nietylko oficerów, ale całej zgrai nadstawników w całym batalionie. Ile dowcipu musiano wyekspensować, aby mnie niewiedzącego o niczem, pokazać wszystkim komiśnym i jednorocznym szarżom w batalionie, ile wykładów i wskazówek ogłosić co do obchodzenia się ze mną? Szkoda, że się tego nie dowiem. Tymczasem jednak zachodzi pytanie, kto to mógł zrobić? Odpowiedź prosta: Komendant batalionu, skoro wszystkie inne kompanie są wtajemniczone. Dosyć wesoło to wygląda ze strony oberlejtnanta Jänsera, który obiecał mnie zrobić kapralem zaraz, a w ogniu nawet kadetem, a który zamiast próbowania swych sił w dotrzymaniu nieproszonej obietnicy, poruszał na mnie wszystkie szarże batalionowe. Zapewne, że albo władze polityczne cywilne, albo komenda pułku zakazały mu wyprowadzania mnie ze stanu gemajny — to proste i zrozumiałe. Ale że on po tym zakazie od razu ~~p~~z wielkiej dla mnie życzliwości przeskoczył w zbytek szpiclowstwa, to już rys oficera austryackiego.

Zdziwiłem się tym wypadkiem nieco, ale już nie popadłem ani w smutek, ani w oburzenie, jak to bywało przy początkowych takich ~~obcy~~ odkryciach. Zabolało mnie tylko ~~pozi~~ na krótką chwilę to poniżenie, że komiśny feldwebel, jakiemu równych nie wziąłbym w czasie pokoju nawet na portyera w mojej garencie, jest tu nadzorcą i sędzią moich obyczajów, myśli i przekonań. Bo że parobcy mną komenderować mieli prawo, do tego się przyzwyczaiłem. Nowością było, że ciż sa-

mi parobcy otrzymali funkcye inkwizytorów, sędziów i donosicieli w sprawach tak zawiłych jak polityka narodowo państwowa.

Ten siorbot jednak szybko przebolałem, bo zresztą miałem dla tych moich oficerów, którzy swoją szpiclowską rolę pojęli jako kapłaństwo, osobny uśmiech politowania i pogardy, a dla wyższych poprzez rząd, feldmarszałka i wyżej tylko pogardę. Śmiałem się też przez całą drogę, wyjaśniając ten wypadek Grudzińskiemu, a że miałem już czas nasiąknąć soczystemi wyrażeniami żołnierskiemi, streściłem swoje wywody w wyrazach, które tak mniej więcej dałyby się przepisać:

– Całujcie mnie wszyscy w piętę: siadam wam na twarz.

To też owe auspicya początkowe zupełnie nie zamąciły mi nastroju.

Życie prowadziliśmy dość jednostajne. Rano o szóstej wstawanie (a więc w nocy) i mycie się, o ile kto chciał. Albowiem trzeba było myć się na placu u fontanny, której woda rano bywała mocno zimna. Ja jedyny myłem się pod kurkiem do pasa, więc patrzono na mnie jako na waryata i samobójcę, bo z gołego, wycieranego ciała buchała para jak z przepoconego konia. Potem pobór kawy w kuchni, stojącej tuż obok naszego domu. Zaraz też wychodziła komenda: „Umhängen, Antreten", i jeszcze przed wschodem słońca ustawiała się kompania na placyku, poczem pochód na tz. ćwiczenia. Podstawę ćwiczeń stanowiły zawsze zachodzenia i marsze paradne po nierównych pastwiskach, kamieniach i wyżłobionych drogach, oraz tłuczenie „gwergryfów". Ale bywały i urozmaicenia. Czasami broniliśmy „nieprzyjacielowi" dostępu od Bela Pecz, więc było rozwijanie się w tyralierkę. Czasami szliśmy kopać rowy strzeleckie. Nasz komendant kompanii leutnant Rabinger powiedział mi raz, przy wszystkich, że jestem wolny od kopania, jako od roboty, obowiązującej tylko „prostych" ludzi, niemniej, gdy jego nie było, kaprale i gefreitery żądali, abym pracował razem z innymi. Rabinger nie cieszył się zbytnią wśród Gönera. Może z tego powodu oficerowie z innych kompanii, przechodząc koło nas zajętych pracą, patrzyli bardzo surowo, ilekroć nie pracowałem, chociaż żaden nie śmiał wydać mi tego rozkazu. Ja zaś, aby się rozegnać, chętnie od czasu do czasu kopałem ziemię, przy zbliżaniu się jednak oficera, stawałem bezczynnie i narażałem się na jego okrutnie surowe spojrzenia, których ani rusz nie mogłem zrozumieć. Chciałem bowiem usłyszeć wyraźny rozkaz, aby się przekonać, że wbrew jasnym przepisom regulaminu komenda batalionowa czy pułkowa odebrała mi te prawa, których odjąć nie wolno chłopcu z szóstej klasy szkół średnich. Tego rozkazu jednak nie słyszałem w Ratecza. Przypuszczam jednak, że było coś podobnego, bo po oddaleniu się oficerów, kiedy znowu chwytałem za łopatkę dla rozgrzewki, zaraz przychodził życzliwy mi aspirant Kranzl i uwalniał mnie od roboty, ale z takiem rozglądaniem się do koła i z taką intonacyą, iż łatwo było w niej wyczytać jego samowolne wyłamanie się, niezgodne jeżeli już nie z wyraźnymi rozkazami z góry, to przynajmniej z tendencyą panującą w owych sferach.

Czasami szliśmy w góry na ostre strzelanie. Nie było to przyjemne, ponieważ w tym wąwozie, gdzie urządzono strzelnicę, słońce nigdy nie świeciło, więc zimno było dokuczliwe i przenikające. Były to jednak ćwiczenia bardzo

interweniujące, ponieważ przez nie wypróbowałem mój karabin i zostałem wnet pierwszym strzelcem w kompanii, a może batalionie. Nasza trzecia kompania wykazywała regularnie największy procent celnych strzałów – gdy jednak raz nie wziąłem udziału w ćwiczeniach, spadła na ostatnie miejsce. ~~Potem wnoszę~~ Rozumie się, że uznania nie uzyskałem żadnego nigdy, ale gdy przychodziło do ~~ćw~~ strzelania zawodowego, zaraz na rozkaz Komendanta Kompanii dawano mi 20 ⁊ 30 lub 40 patronów więcej niż był rozkaz. Tak samo przy współzawodniczem strzelaniu, gdzie po każdym trafnym strzale usuwa się jednego żołnierza z przeciwnej strony od udziału, jako zabitego, zawsze nasz przeciwnik uznawał mnie pierwszego w kompanii czy w plutonie za niezdatnego do walki. I to usuwanie od dalszych zawodów przez stronę konkurencyjną było dla mnie jedynem wyraźnem uznaniem.

Wszystkie te ranne ćwiczenia w kompanii czy w batalionie odbywały się z użyciem kompletnego rynsztunku. Trzeba więc było każdego ~~po~~ przedpołudnia dźwigać na sobie cały swój majątek. Ponieważ nogi ciągle mnie bolały, ponieważ chodzenie pod górę ze względu na słabość serca jest dla mnie wielką uciążliwością, te ćwiczenia nie cieszyły mnie bardzo, mimo że odbywały się w pięknej okolicy, w cudownie świeżem powietrzu.

Po powrocie menaż, złożona z czystego rosołu i kawałka mięsa. Menaż ta była bardzo skąpa i żołnierze, nie posiadający pieniędzy, cierpieli głód. Dopiero, kiedy jenerał Jellenchich (niegdyś Jelenčič ~~dziecię~~) uczynił inspekcyę i zarządził, że wojsko w Rateczach ma być co do poborów zrównane z wojskiem frontowem, sprawa się poprawiła. Mięsa dostawało się porcyę wystarczającą, a obok rosołu był zawsze groch, fasola, ziemniaki lub kapusta jako jarzyna.

W przerwie obiadowej czyściło się karabiny, potem około drugiej wymarsz na ćwiczenia plutonowe, a więc tylko z karabinami i patrontaszami, gdzieś niedaleko. Aspiranci Kranzl i Knocklinger, prowadzący na przemian te ćwiczenia, jako ludzie roztropni widzieli całą idyotyczność wieczystego powtarzania „gwergryfów,” więc kryli się z nami po ogrodach niedostępnych lub szopach i zabijali czas ~~przepisany~~ zabawami, pogawędkami. Gdy się zbliżał ktoś obcy zaczynało się dla oka jakieś „Schultert” „Beim Fuss” itp.

Wracało się jeszcze za dnia do domu, potem rozkaz przy fontanie i kolacya. Od chwili zrównania nas z wojskiem frontowem dość często dostawaliśmy gulasz, flaki, płucka zamiast kawy wieczornej.

Potem jeszcze jakąś godzinkę czy dwie pogawędki grupami, wystawanie na placu do słońca itp. Często moc żołnierzy przychodziło do nas, ćmiąc fajki i grając w karty do ósmej godziny i później.

Cały styczeń był piękny i za dnia wcale ciepły. My żeśmy to przypisywali południowemu położeniu kraju, ale gospodarz wyprowadził nas z błędu, zapewniając, że jest to rok wyjątkowy. Zazwyczaj w styczniu bywa śnieg na kilka metrów, gdy teraz była go tylko cienka warstewka na zboczach górskich, odwróconych od słońca.

Dopiero w końcu stycznia spadł skromny śnieg, a w początkach lutego nawet bardzo obfity.

Raz przedsięwzięliśmy wycieczkę za Podkoren (Wurzen) dla oglądnięcia przygotowanych już okopów. Po utracie Krnu i Mrzlego Vrchu zatrzymały się wojska austryackie na prowizorycznych stanowiskach Lipnika, Dupli Planiny itd, ale że te pozycye uchodziły w oczach strategów za niemożliwe do utrzymania, więc z pośpiechem wykonano te Reserve-stellungen, godząc się z myślą oddania linii kolejowej Tarvis-Bela Pecz-Kranjska Gora Włochom.

Widocznie wielcy owi strategowie nie rozumieli się zupełnie na wojnie. Okazało się bowiem, że owe prowizoryczne stanowiska dały się utrzymać dotąd, a więc zwyż półtora roku i według mego zdania z późniejszej autopsyi czerpanego są one nie do zdobycia wstępnym bojem. Dopiero gdyby Włosi zajęli przełęcz Tarvis, wojska austryackie musiałyby stamtąd uciekać, albo wszelki dowóz żywności i amunicyi byłby uniemożliwiony. Być może, iż włoskie ataki na Rombon, Flicz i Tolmin miały ten plan na oku. I znowu moje niemiarodajne zdanie jest takie, że jeżeli Włosi nie są pewni tak szybkiego poruszenia się, żeby mogli austryackiej armii odciąć drogę do cofnięcia się, to zdobycie Flicza i Tolminu nie powetowałoby ich strat, ponieważ tu także są szalone i trudne do zdobycia góry. Możnaby więc łatwo wstrzymać dalsze posuwanie się Włochów, którzy natomiast mieliby ogromne trudności terenowe i komunikacyjne do pokonywania, chcąc własną armię należycie zaopatrzeć. Tylko nadzieja wzięcia kilkudziesięciu tysięcy do niewoli mogłaby usprawiedliwić ogromne ofiary włoskie, konieczne dla zdobycia przesmyku Tarwiskiego. Zdobycie to bowiem samo utrudniłoby raczej położenie armii włoskiej, utrudniając co prawda bardzo mocno położenie wojsk austryackich.

Nie mogłem zrozumieć sensu owych przygotowanych okopów, ale przypisywałem to wówczas brakowi wszelkiego doświadczenia polowego. Później przekonałem się, że zdrowy chłopski rozsądek mówił we mnie, kiedy w duszy pytałem się: poco to? Oto okopy przeprowadzono po stoku gór, odkrytym zupełnie dla nacierającej armii. Znaczy to, że kilkudniowa kanonada zrówna je z ziemią. Uważałem, że tylko te okopy są dobre dla obrony, które znajdują się na stoku górskim, odwróconym od nieprzyjaciela, tak że szczyty i grzbiety gór stanowią naturalną zasłonę przed ogniem artyleryjskim.

Dzień był słoneczny, prześliczny. Drzewa stojące ponad pewną linię wysokości na wierchach, były białe od szronu, kiedy poniżej czerwieniały się jodły i świerki, a między nimi i w dole czerwieniła się ruda ruń połonin. Cóż z tego, kiedy włóczenie się po górach w pełnym rynsztunku i wynikające stąd bóle i uciski przytępiały wszelką zdolność rozkoszowania się widokami natury!

Kiedyśmy wracali, pozostałem daleko poza batalionem i przywlokłem się do Rateczy aż na wieczór.

Raz zrobiliśmy wycieczkę do tz. Dwóch jezior. W wysokości ponad tysiąc metrów w lesistych górach są dwa wielkie jeziora, połączone z sobą wązką strugą. Woda przejaskrawie przeźroczysta pokazuje zielonkawo fioletowe dno, zawdzięczające swoją barwę osobnego rodzaju żwirowi. Woda tak jest czysta, że absolutnie nie można w najgrubszem nawet przypuszczeniu oznaczyć jej

głębokości, bo wszędzie wszystko co jest na dnie widać niezamącone. Brzegi porosłe spadzistym lasem, nad którym sterczą olbrzymie ściany szarych skał. Jest to romantyczne, a w lecie musi być nawet prześliczne, tylko trzeba być na to turystą, a nie żołnierzem z karnej roty.

Wyższe jezioro było zamarznięte i pokryte grubą warstwą śniegu. Bardzo gruby śnieg leżał tam wszędzie, widocznie nie dochodziło tam zimowe słońce lub też nie miało żadnej siły z powodu zbytniej wysokości. Tam nieśliśmy wypoczynek, od którego mróz przenikał kości na wylot.

Dnia 25 stycznia uczyniliśmy forsowny marsz do Riegersdorf w Karyntyi. Wydostawszy się na wierzch gór, okalających Rateče, zobaczyliśmy, że jest to właściwie wyżyna falista, szeroka na kilka kilometrów. Lasy zasłaniały dalszy widok, a przy szerokim gościńcu nie było żadnych zabudowań ludzkich. Śnieg pokrywał wszystko, bo wyżyna musi być bardzo wysoko nad poziomem morza. Przy kamiennym słupie dziwnym, opisanym po niemiecku, a wskazującym początek Karyntyi, Niemcy wzięli pohukiwać. Zerwały się też wystraszone stada kruków z jakiemś chrapaniem zamiast krakania i okolica czyniła wrażenie dzikiego odludzia. Musi być bardzo niesamowicie, gdy się w samotności idzie przez te hale. Myślę, że podania i baśni ludowe powinny były wiele strasznych wydarzeń umiejscowić w owych stronach.

Przeszedłszy jakiś las, stanęliśmy nareszcie na tym stoku owego wzniesienia. Przed nami rozpostarła się dziwna kraina. Wielka dolina, czyniąca podobieństwo nieckę, ograniczona była z lewej strony długim łańcuchem prawie prostopadłych skał, tak równych u wierzchu, że czyniły wrażenie olbrzymiego brzegu rzecznego. Tu i owdzie bez powodu wyskakuje góra z doliny, czasem szereg pagórków, przypominających pokrywki jesiotra, a wszystko gdzieś na krańcu w brunatno-szarej mgle ogrodzone olbrzymiemi górami.

W dolinie pod nogami jakieś osady, niektóre przeświecają wieżami i białemi ścianami domów przez mrokę, w którą są spowite, na prawo jakieś jezioro szaro-bure, roztapiające się z ~~takiemi~~ takim samym łańcuchem górskim, a cały krajobraz utrzymany w tonie brunatnym, o rozlicznych odcieniach, wywołanych słońcem, mgłą oddalenia i cieniem rzucanym przez góry. Był czas kiedy malarze używali najchętniej takiej farby na tła swoich obrazów, co Witkiewicz nazywał sosem od pieczeni.

Leutnant Rabinger zwrócił się do mnie i pokazując ową wielką osadę z wieżami, powiedział, że to jest miasto Villach (Biljak), a na brzegach zatartego jeziora każe mi szukać Ossiachu (Osieka). Chciałem przedrzeć oczyma owe szare burości i zasłony, majaczyło mi coś niby zarysy miasta z jakąś wieżą, ale nie dojrzałem nic wyraźnego. A głowa pałała, bo ten Osiek to przecież nasz Bolesław Śmiały. I chociaż nie należy do moich umiłowanych postaci historycznych, kochałem go w owej chwili za to, że jest wygnańcem.

Kiedyśmy opuścili ową krawędź, zaczęła się droga karkołomna. Prowadzono nas w dół po ścieżkach tak zawrotnych, że chyba tylko kozice tędy spacerują i tylko turysta wypróbowany tamtędy się odważa. Rozsypaliśmy się w pojedynkę i skacząc, jeżdżąc na siedzeniu jak na sankach, przy pomocy kijów ~~ni~~ i turystycznych i pałek kolczastych pod butami, udało się nam zejść bez żadnych

szkody. Przewracań się nie można wliczać do rzędu wypadków. Ponieważ jednak szło się powoli, więc przebyłem tę zawrotną drogę bez szwanku. Stok góry leżał w cieniu, więc przenikliwy chłód odpędzał wyczerpanie. Nareszcie stanęliśmy u stóp, a kiedyśmy sformowali się na szerokim gościńcu i wyszli z cienia, okazało się, że zaszliśmy do kraju ciepłego. Słońce przygrzało, pył unosił się jakoby w sierpniu.

Przeszliśmy przez wioskę Tschau, opisaną na tablicy oryentacyjnej wyłącznie po niemiecku. Wkrótce, idąc jeszcze bardziej w dół, zaszliśmy do kotlinki uroczej, która w lecie cudnie musi wyglądać z powodu mnóstwa drzew — było to Riegersdorf. Opisane tylko po niemiecku.

~~Pan~~ Wnet wprowadzono nas na ogród gospodarski, kazano broń ustawić w kozły, zrzucić rynsztunek i wypocząć, oraz spożyć konserwy zamiast obiadu. Była godzina 12 w południe, a o drugiej mamy być gotowi do powrotu.

Rozbiegliśmy się rychło po gospodach, aby dać konserwy podgrzać i napić się jeszcze czegoś. Ponieważ ja zawsze dochodziłem wszędzie ostatni, więc gospody były przepełnione. Zafundowałem więc kwaśnego wina kilku kamratom, a jeden z nich wyrobił u gospodyni rozgrzanie konserwy, którą na dobitkę podał mi na talerzu.

Gospodarze umieli mówić po słoweńsku, a po niemiecku gadali z cudzoziemcami, przypuszczam więc, że byli Słoweńcami. Że zaś pomyśleć trudno, aby niemiecka gmina dawała Słowianinowi koncesyę szynkarską, muszę przyjąć, że w Riegersdorf mieszka ludność słoweńska. Niemniej wszystko opisane po niemiecku. Sklep współdzielczy, niby naszego kółka rolniczego, ma napis niemiecki, tabliczki reklamowe niemieckie, taryfa, koncesya za szkłem, wyjątek z ustaw wyłącznie niemieckie.

Wiem, że Karyntya ma wedle urzędowej statystyki większość niemiecką. Na to przecież kraj, którego władca (wojewoda) jedyny z książąt lennych miał przywilej przemawiania do cesarza w języku słowiańskim (czyli wendyjskim). Otóż, ta, nawet nie wiem, czy rzeczywista większość niemiecka sprawia, że cały kraj ma zewnętrzny połysk wyłącznie niemiecki. Zdawałoby się, że jesteśmy we Fryzyi. Tu nawet na drugiem miejscu język krajowy nie jest cierpiany. A przecież skoro Kraina jest ziemią dziś jeszcze czysto słowiańską, muszę przypuszczać, że słowiańskie osiedlenie Karyntyi przypiera do Krainy, tak jak niemieckie do północnej Styryi. Nie znam stanu rzeczy, tylko wnioskuję. Otóż w Karyntyi podróżny powierzchowny nie odkrywa śladu słowiańszczyzny.

Tu można wyłapać na gorącym uczynku system niemiecki. Tam, gdzie jak w Karyntyi Niemcy mają coś do gadania, tam już wszystko musi być niemieckiem, tam bezwzględnie i bezwstydnie panują i panoszą się. Gdzie zaś, jak w Krainie, nie mają zupełnie nic do gadania, tam żądają równouprawnienia językowego i stąd w kraju czysto słowiańskim miejscowości są już przechrzczone całkiem systematycznie na niemieckie, a te sztuczne i często brzydkie a zawsze bezsensowe nazwy mają pierwszeństwo przed miejscowemi, oryginalnemi, historycznemi. Ten chrzest nazwisk jest

zapowiedzią pierwszego rozpierania się germanizmu i jego dzisiejszego apetytu.

O drugiej znaleźliśmy się przy naszych rynsztunkach i wnet ruszyliśmy w drogę powrotną. Ale na krawędzi owej wyżyny weszliśmy już szeroką drogą serpentynowatą, o bardzo długich kolanach i równomiernym spadku. Zaczęło się ziajanie w takt kroków lub bardzo głośne dyszenie, postaci objuczone pochyliły się naprzód. Przed oczyma wspina się ~~równy~~ prosty, szeroki gościniec, może na kilometr i ćwierć, wysila się mówiąc sobie w duszy: tam zacznie się droga w poziomie. Ale gdy doszedł do tego upragnionego miejsca, trzeba było uczynić ~~pół obrotu i oto~~ cały obrót i oto znowu przed nami kilometr albo i więcej drogi prostej, szerokiej, jednostajnie podnoszącej się. Tu zapewne koniec, myśli żołnierz, zaciska zęby i kroczy ugięty pod tobołem. A po półgodzinnym trudzie spostrzega znowu, że się mylił, bo tam tylko zakręt, obrót w koło i marsz po nowym ~~kolanie~~ odcinku serpentyny.

Riegersdorf pod nogami skryło się za jakiś garb, Tschau jest już tak nisko, że zdaje się, trzeba nachylić głowę, aby je pod stopami odkryć, daleki Villach świeci do słońca także mocno w dole, a my idziemy i idziemy. Już pył pod nogami zrobił się jakiś więcej spoisty, już zimno pociąga po uszach i wierci w nosie, nareszcie odkrywamy już pod nogami zamróz, tafelki lodu na drobnych kałużach, który od miesięcy ani razu nie odtajał. Naprawdę wspięliśmy się już bardzo wysoko. Niemniej na najbliższym zakręcie odkrywamy, że ta nowa odnoga drogi pnie się dalej pod górę. Ten i ów zdjął czapkę i ściera pot, ściekający strumieniami, ów oparł plecak o skałę i wypoczywa, tamten siadł na ziemi.

– In die Einteilung! brzmi głos aspirantów

– Anschliessen! wołają cugsfirery.

– Auf! Auf! Rückt nach! wrzeszczą kaprale.

Gdzieś odkryto źródełko w skale. Rzuciła się brać czerpać wodę, pić, ale równocześnie przyskoczyli szarżowie kląć i odpędzać. A my idziemy i idziemy ciągle pod górę. Nakoniec naprzód szyłki, potem płaty, wreszcie jednolita warstwa śniegu nas otoczyła. Pod nogami rozbity w pył śnieg podbija obcasy i podeszwy, powodując poślizgiwanie się i wykręca nogi w kostkach. Jaki taki staje i przyczepia do butów żelaza o czterech kolcach (Steigeisen). Ale za każdym nowym zawrotem odkrywamy nową odnogę gościńca, pnącego się jednostajnie w górę.

Mimo mroźnego podmuchu przemokłem już cały od potu, który lał się strumieniami po twarzy, ze skroni i z małżowin usznych jak z rynny. W gardle zaczęło mnie coś ściskać, jakoby nagle płyn jakiś po obu bokach krtani hydraulicznie rozpierał szyję. Potem żeber kilka w dół na lewo od lewej sutki zaczęło boleć niby reumatycznie, a pod żebrami znowu uczucie jakoby przelewanego płynu. Wreszcie w szyi zaczęło bulkać jakoby pulsa tam się przeniosły i oszalały. Obolałe nogi były podobne do zdrętwiałych kijów. Było mi źle – zwłaszcza w szyi uczucie dziwaczne, przypominające zbieranie się na wymioty, ale przecież inne, duszące. Ból żeber połączył się z bólem wewnętrznym: serce boli.

Ale się uparłem i ~~[illegible]~~ dysząc jak miech kowalski, idę. Nieraz już ustawałem w marszu, ale za każdym razem, gdym nieco odpoczął, mogłem z trudem wlec się dalej. Otóż postanowiłem zobaczyć, jak to wygląda paść bez sił. Idąc myślałem: Niech żyje armia austryacka, składająca się z tak zdatnych żołnierzyków jak ja. Oto kandydat na bohatera. Chcą mnie zrobić Kadetem, jeżeli się odznaczę — mam w sam raz wszystkie dane do odznaczenia się. I te łajdaki robią ze mnie żołnierza. Swoją drogą jestem zbyt wielkim kaleką, aby wytrzymać te trudy, ale jeszcze zbyt zdrowym aby od nich zginąć. Za wiele na niebo za mało na piekło. Otóż zatnę się i niech to raz się skończy, czy bodaj przesili. Gdy dziś przetrzymam, za kilka dni każą robić takie same mozoły i rzecz będzie się powtarzała, póki mnie jakaś kula od tej bezcelowej męki nie uwolni. Jedynym ratunkiem jest śmierć — ale do wyboru mam, albo Koniec zaraz, albo nie wiem, ile miesięcy męki i po niej także tylko Koniec. Chcę więc mozolić się póty, póki coś we mnie nie pęknie i będę miał Koniec zaraz, a saldo: oszczędzenie kilkumiesięcznych katuszy.

Już mi i oczy zaczęły z orbit wychodzić, ale szedłem, a raczej wlokłem się jak na szczudłach.

Nareszcie ścisnęło mnie coś tak za gardło, jakoby jakiś gęsty płyn zalewał tchawicę i przełyk oraz rozpychał ciało i skórę na szyi — zatrzymałem się. Zacząłem ustami łapać powietrze i dychać szybko również ustami, wydając głośne rzężenia z piersi. Osunąłem się na śnieg, ruksak oparł się o jakiś kamień i siedzę. Nic mnie nie obchodzi świat, nic nie rozczulają moje postanowienia, że dziś musi być Koniec. Siedzę i rzężę. Zimno bierze mnie w nogi: i owszem. Może zapalenie płuc dokona tego, czego przemęczenie nie zdoła. A to przeklęte serce boli, ale pęknąć nie chce — gdybym jednak wojnę przeżył, to bez zrozumiałej przyczyny, w chwili kiedy pragnąłbym żyć jak najdłużej, pęknie niespodziewanie trzaśnie sobie jak stary balonik i będzie Koniec.

Koło mnie przechodzą dalsze plutony — przechodzi już inna Kompania, a ja siedzę. Ten lub tamten woła:

— Zamorski auf!

ale ja sobie siedzę i nawet na nich nie patrzę. Słyszę tylko głuchy szelest kroków w śniegu i co mnie to obchodzi. Nareszcie jakiś zaniepokojony głos woła:

— Sie Einjähriger! Was ist?

Popatrzyłem z trudem: to leutnant Hüttelmayer stanął nademną. Długo się w niego wpatrywałem, wreszcie przerywanym sykiem, jakoby ze czkawką wyszeptałem:

— Kann net weiter.

Już przeszły wszystkie Kompanie, a ja sobie siedzę sam. Im więcej bicie krwi się uspokaja, tem więcej jestem zadowolony, że mogę tak sam zostać. Przepocony do nitki będę musiał przez noc przeziębić się śmiertelnie. Wprawdzie ktoś może jeszcze ~~[illegible]~~ nadejść i odkryć mnie, ale usunąć się na bok nie mam siły. Krzyże i uda niby sparaliżowane, reszta nóg zdrętwiała, a całość jakaś dziwna niby opukane do juszki jabłko.

W końcu jednak zbliża się jakiś oddziałek z pięciu czy sześciu żołnierzy. Niosą

drągi od noszów: sanitaryusze. Oby mnie takie zmieniągli.

Ale nie! Kapral podchodzi do mnie i mój krzyczeć, namawiać, prosić.

– Lassen Sie mich in Ruh' – wybełkotałem.

Nic nie pomoże. Odpięli mi plecak i jeden z sanitaryuszy powiesił go sobie na piersiach, bo widocznie miał już na grzbiecie, drugi zabrał moje patrontasze z pasem i bagnetem. Ale ja wstawać nie chcę. Kapral odgadując po mojej wymowie, że nie jestem rodowitym Niemcem, więc z małem przekomarzaniem, powiedział:

– Aha! Willst „wutki"?

Dobył kawał cukru i nalał na niego kilka kropel bardzo lichego koniaku. Tę medycynę rozpuściłem w ustach. Podali mi ręce i postawili na nogi. Próbuję iść, a zesztywniałe nogi automatycznym ruchem w pierwotnem tempie sunę się naprzód. Tylko brak ruksaka potrącał mnie przez jakiś czas w tył, ale przestę wlokłem się. Gdyby przyszło uczynić nogami krok szerszy o centymetr, albo o kilka sekund spieszniej z nóg przestępować, byłbym nie potrafił. Ale wlec się dotychczasowem tempem szło jeszcze choć z bólem.

Wkrótce wyszliśmy na wierzch wyżyny. Droga dalsza prawie w równym poziomie była łatwiejsza, choć przyspieszyć kroku nie dało się. Pod wieczór stanęliśmy na przeciwnej krawędzi tej wyżyny i zaczęliśmy się schodzić ku Podkorenowi. Była już noc, kiedy dowlekliśmy się do Ratecy.

Między odmiany codziennego życia należy wliczyć odwiedziny następcy tronu, który wtedy nosił pszydingie imię Karol Franciszek Józef. Odwiedziny nie nam przeznaczone, lecz te odwiedziny na froncie. Miał więc arcyksiążę przyjechać koleją do Kraińskiej Góry, a stamtąd automobilem na front. Jak się później dowiedzieliśmy frontem dla arcyksiążąt i ministrów jest siedziba komendy dywizyjnej, umieszczona zazwyczaj tak daleko, że w okolicach górskich nie słychać nawet strzałów armatnich, a tak dobrze schowana, że nieprzyjaciel, choćby na linijkę dokładnie znał jej położenie, nie potrafi w nią ugodzić. W tym wypadku frontem nam była Socza w tolminskim powiecie, ~~a~~ miejscowość tak bezpieczna, że z niej nawet ludności ~~cywilizowanej~~ cywilnej nie usuwano. Można też było w pismach illustrowanych potem dać fotografię, na której tradycyjna dziewczyna w bieli wręcza tradycyjny bukiet tradycyjnie ukochanemu książkowi rodziny panującej. Tych wszystkich szczegółów dowiedzieliśmy się dopiero później, a nawet oglądaliśmy i tę fotografię, mówiąc w duszy: Ładny front, po którym wałęsają się dziewice w bieli z bukietami.

Ale ta antycypacya dotyczy arcyksięcia nie nas.

Nas w tym dniu obudzono tylko o trzeciej rano. Ponieważ kucharzy oficerowie szanują, więc ich nie budzono przed nami, a wynikiem tego braku zarządzenia było, że nie dostaliśmy porannej kawy. W czas mroźny jest to opuszczenie bardzo niemiłe, zwłaszcza przy przedwczesnem zerwaniu się ze snu. Wśród ciemnej nocy zrobiliśmy marsz za Kraińską górę, nad potok, którego nazwiska nie znam, a wzdłuż którego prowadziła kręta, ale szeroka i dobrze utrzymana droga. Znaleźliśmy się tam nietylko my, ale wszystkie bataliony innych pułków, rozlokowane w tej okolicy.

Rozstawiono nas po jednej stronie drogi w pojedynkę, twarzami naturalnie do środka gościńca i pouczono, że gdy się pokaże automobil (powiedziałbym „najjaśniejszy" automobil, aby pozostać w stylu, ale nie chcę tak oczywiście kłamać, choćbym za to miał znowu narazić się na więzienie za obrazę majestatu czy automobilu – wehikuł bowiem był czarny jak zwykły automobil)

trzeba karabinem oddać pozdrowienie, naprężyć się do pęknięcia i przykutym wzrokiem wieść za automobilem, póki nie zniknie.

Była zapewne siódma, kiedy wyrwiono ~~z~~ z przygotowania. Chmury cienowe jednostajne zasłaniały niebo, nie pozwalając odgadnąć, którędy słońce powinnoby zejść na ziemię. Rodzaj mgły spowijał przedmioty, więc ~~było~~ było jeszcze ciemnawo.

Krańska Góra jest ważnem miejscem etapowem dla wojsk na karynckim froncie, to też jest połączona kolejką linewkową, prowadzącą milami ~~z~~ w poprzek grzbietów górskich aż na stanowiska rezerwowe. Sterczą więc kolosalne słupy żelazne, czasami do filarów niebotycznego mostu podobne, w szerokich odstępach jedne za drugiemi, a na blokach, umieszczonych na ich szczytów sunie się lina druciana, do której przyczepia się stosowne wózki, czy pudła. Systemy tych kolejek są różne. Widziałem ich dosyć i muszę powiedzieć, że w wysokich górach, gdy taka lina przechodzi ponad szczyt, miewa nieraz w czeluści imponującej wysokości słup, a wcale interesująco wygląda przeskakiwanie takiej liny z jednego szczytu na drugi i podróż w koszu tej kolejki nad przepaściami jest wcale denerwująca.

Otóż po raz pierwszy zobaczyliśmy tę „Drahtseilbahn" i przyglądaliśmy się jej z ciekawością. Przełożeni upominali, aby się nie ruszać, ale jak nieruchomo czekać? Może więcej niż pół godziny pilnowano nas tak, jakoby w tej chwili ów pan miał się pojawić. Gdy jednak mijały kwadranse daremnie, gdy powtarzanie tych samych upomnień sprzykrzyło się nawet szarżom, nie mówiono już nic, kiedy żołnierz oparł się o ~~ta~~ poręcz przydrożną lub przysiadł na słupku kilometrowym. Stanie na zamarzniętej ziemi chwyta jednak za nogi, nawet gdy się posiada „schwere Gebirgsschuhe" – zaczęło więc bractwo przytupywać dla rozgrzewki. Kiedy jednak czekanie wciąż się przeciągało, pozwolono żołnierzom zapalić papierosa.

W ten sposób czekaliśmy prawie trzy godziny, bo dopiero gdzieś około dziesiątej usłyszeliśmy z poza zakrętu skąpy okrzyki: „Hoch, Hoch!", więc przyjąwszy naciągnięte miny wyzywające, chwyciwszy w dłonie odepchnięte w tył kolby, czekaliśmy uroczyście. Automobilów było kilka. Jenerałowie z pierwszych automobilów kiwali rękami, pokazując w tył na znak, że nasze siarczyste spojrzenia należą się tam. Wreszcie nadszedł dość wolno automobil arcyksiążęcy, otwarty z naszej strony. Na stopniu stał lokaj z takiem przejęciem, namaszczeniem i skupieniem, z jakiem chyba arcykapłan przestępował próg miejsca Święto Świętych, przepełnionego [illegible] obecnością Boga. Przez otwarte drzwi widać było młodego pułkownika, w którym niechybnie było poznać następcę tronu. Twarz o węgrowatej skórze była wykrzywiona do uśmiechu, który wydawał się nienaturalnym. Uderzały grube wargi jak u człowieka, nierachowującego miary w jedzeniu. W Głogowcu nazywają człowieka z takiemi wargami „jesmym". Wąsik niewielki i włosy wydawały się na odległość czarne. Zarówno twarz jak włosy wydawały się niedobrze wytarte po dopiero co dokonanem myciu się. Arcyksiążę

trzymał dół twarzy wysunięty naprzód, a ten ruch czy grymas miał dodawać serdecznego wyrazu uśmiechowi, który wyglądał na bezwiedny, czy też gwałtem przyciągnięty. Miałem wrażenie, jakoby ten uśmiechający się wyraz twarzy był maską, sztucznie naciągniętą, albo jakoby przez ciągłe ubieranie się w uśmiech, ten wyraz twarzy zakrzepnął, czy zamarzł i tak przywarł na zawsze. Rękę prawą trzymał przy skroni, już to salutując, już to ~~pozdrawiając~~ potrząsając nią na znak pozdrowienia. Głowy nasze jako słoneczniki kręciły się za nim. Nakoniec automobil przejechał. Jeszcze za nami gdzieś w innych zakrętach ozwały się okrzyki: „Hoch," potem i tego nie słyszeliśmy.

I to wszystko.

Bardzo szybko odprowadzono nas z powrotem, przykazując pogotowie, albowiem nie jest wykluczone, że będziemy musieli tworzyć szpaler przy jego powrocie. Na szczęście przypuszczenie okazało się mylnem.

Takie pojawienie się arcyksięcia ma służyć wedle gabinetowych podręczników historyi ~~ato~~ do podniesienia ducha i wzbudzenia zapału. Nie wiem, co myśleli moi Kamraci. Byłoby zresztą niebezpiecznie wyrażać swoje uczucia, o ile są sprzeczne z owem regulaminowem pojęciem. Wiem tylko, że żaden w mojem otoczeniu nie powiedział słowa, któreby choć zdaleka świadczyło o entuzyaźmie, albo bodaj o radości z powodu oglądania następcy tronu. Jedni zwracali uwagę na jego młodość, co w Austryi, której cała ludność urodziła się i dożyła starości za panowania starego Franciszka Józefa, nie może dziwić. Arcyksiążę nie wyglądał na młodzika, przeciwnie na mężczyznę dojrzewającego, ale wobec mlecznych bokobrodów cesarza musiał uderzać młodością. Drudzy zwracali uwagę na ślady świeżego i pośpiesznego mycia się. Nie dopowiadali z przezorności tego, że on sobie w dworskim pociągu wypoczywał wygodnie, że wstał zapewne przed pół godziną, gdy my dla jego widzimisię już od czterech godzin jesteśmy na nogach. Wszyscy mruczeli między sobą na owe przeklęte obyczaje armii austryackiej, które uroczystość, ważność lub paradę zaznaczają niekończącem się staniem i czekaniem. Poco nas było o trzeciej wypędzać z Ratecz, kiedy wystarczyło wyjść o ósmej?

Mnie dwie tylko nasuwały się uwagi. Oto człowiek prawie o połowę lat odemnie młodszy, który bardzo mało pracował w życiu, a niczego absolutnie nie dokazał, jeździ sobie pociągami zbytkowymi i automobilami, gdy ja tyle od niego starszy – i biorąc na uwagę rozporządzalne środki – tyle tysięcy razy więcej zasłużony muszę na jego uczczenie zrywać się ze snu wśród głębokiej nocy, dźwigać ciężary na obolałym grzbiecie, i odbywać marsze chorymi nogami i marznąć wystawając. Dlaczego? Jakie boskie lub ludzkie prawo – za wyjątkiem ludzkiej głupoty i opierającej się na niej przemocy – może usprawiedliwić tę niesprawiedliwość"?

Arcyksiążę, w każdym razie zero moralne i umysłowe stokrotnie niższe odemnie, chociaż ja nie uważam się za nic wybitnego, jest człowiekiem zdrowym, a mimo wojny pieści się, pielęgnuje się, nie odmawia sobie żadnych wygód. A równocześnie geszeft jego rodziny, a więc i jego własny, odebrał mnie schorowanemu wszelką możliwość wygody zasłużonej i potrzebnej i wydał mnie na trudy ponad moje siły i zdrowie.

Czy to ma być rozumne, godne cywilizowanych ludzi urządzenie świata?
Nie byłem nigdy zarozumiałym i nie wynosiłem się nad innych – przeciwnie musiałem zawsze uważać się za bardzo przeciętnego człowieka. Ale wiedziałem jak bardzo ograniczonym i rozkapryszonym jest następca tronu. Więc nie poto, aby siebie wynosić, ale aby skalę właściwą dla jego umysłowej wartości zastosować, twierdziłem, że jestem tysiąckroć jako człowiek więcej wart niż on. Toto rzeczy tak ~~się~~ się złożyły, że ja stoję jako pionek, aby oddawać cześć owemu zeru. Gdyby ludzie chcieli myśleć gdyby wszyscy ci chłopi zakuscy umieli wczuć się w godność własną jako ojców i obywateli, takie rzeczy byłyby w przyszłości niemożliwe.
Wojna wtrąciła mnie w to fałszywe położenie. Ale o co i w czyim interesie toczy się ta wojna? Ani ja, ani żaden z moich kamratów nie skorzysta na ewentualnem zwycięstwie. Ale pan arcyksiążę będzie na wypadek powodzenia panować nad powiększonym krajem i między sobie podobnymi monarchami zażywać większego znaczenia. Wojna więc toczy się o jego interes, o jego pychę, o jego kieszeń. Toto on sobie siedzi w pałacach lub jeździ salonkami, a my, którzy w tym żadnego interesu nie mamy, idziemy na rzeź; przed tem jednak czynimy mu paradę. Czy to nie jest przewrotnienie, wynaturzenie? Może za kilka dni połowa z tych ludzi gnić będzie jako roztrzaskane ścierwo – za co? po co? dlaczego? – ach! ~~to~~ oni już są z góry zapłaceni, bo jego Cesarska i Królewska Wysokość raczył łaskawie w grymasie uśmiechu wysunąć naprzód dolną szczękę i ściągnąć wargi z dziobka oraz potrząsnąć dłonią ku nim. Czy to nie dosyć? Mein Liebchen was willst du noch mehr?
Równocześnie przychodziła mi i inna myśl. Opowiadano, że dla uczynienia szpaleru ściągnięto nietylko nas etapowców, ale i rezerwy z frontu, bo inaczej ogon nie byłby dość długi. Uważałem zawsze i państwo i wojnę jako za pojęcia bardzo poważne. Toto naraz zobaczyłem, że państwo schodzi na dalszy plan wobec następcy tronu, czyli jest niczem wobec cesarza, oraz że wojna również ustępuje na drugi plan wobec potrzeby urządzenia parady arcyksięciu. Zabranie rezerw mogłoby się okazać bardzo groźnem zaniedbaniem, bo na wypadek ataku nieprzyjacielskiego byłoby równoznaczne z przerwaniem linii. Ale te wszystkie względy muszą iść w kąt, bo parada przez arcyksięciem ważniejsza niż utrzymanie pozycyi, czy choćby zwycięstwo.
Kłamstwem więc jest, że my wszyscy, żołnierze i cywile, razem z dynastyą służymy jakiejś jednej sprawie, choćby tak niedorzecznej jak monarchia austryacka, natomiast prawdą jest, że my wszyscy przeszło 50 milionów służymy wygodzie i kaprysom jednej rodziny. Musiałem oto, iż z powodu przejażdżki pana arcyksięcia zmobilizowano tysiące ludzi od niego starszych, więcej wartych, ale dlatego tylko, że mu do głowy z powodu próżniactwa strzeliła ochota przejażdżki po bukiet od biało ubranej dziewczyny w Soczy, narażając się na niebezpieczeństwo front, okupiony śmiercią i kalectwem kroci

tysięcy, naraża się tę niby wspólną sprawę, zwaną państwem. Dalibóg, że głupszego stworzenia nad homo sapiens niema na świecie, skoro tego rodzaju stosunki mogą uchodzić za normalne.

Nikt zapewne nie wierzy w jakieś nadzwyczajne zdolności strategiczne arcyksięcia i tej wizycie „na froncie" w Soczy nie przypisuje żadnego znaczenia wojskowego. Gdyby jednak był on i geniuszem wojny, to chyba łudzić się nie można, iż potrafi odkryć coś w Soczy, dokąd odkomenderowało się kilka kompanii, aby przed nim defilowały. Z siły tłuczenia nogami w ziemię przy paradnym marszu, skazanej przez pościąganych zewsząd żołnierzy nawet i geniusz potrafiłby wywnioskować akurat tyle, co z parady na Schmelzu.

Otóż dzisiaj, kiedy dostawy cierpią, kiedy koleje nie mogą podołać zapotrzebowaniu, wstrzymuje się ruch na ostatniej linii etapowej, aby przepuścić pociąg dworski, bo arcyksięciu ~~zach~~ zmudziło się siedzieć w Wiedniu i zachciało się przyjechać do Soczy. Zdaje się, że ~~Chal~~ Assyryjczycy i Byzantyjczycy mieli postępowsze pojęcia o monarchiźmie i interesach państwowych. To się da porównać tylko z niewolniczością za czasów Kaliguli, Nerona i Heliogabala, ale wtedy imperium rzymskie nie walczyło o swoją egzystencyę.

Jak z tego widać, owa wizyta Najdostojniejszego Członka Najjaśniejszej Dynastyi wywołała u mnie specyalny entuzyazm. Zdaje mi się, że gdybym był mógł zajrzeć w serca moich kamratów, nawet górnorakuskich chłopów, nie byłbym odkrył uczuć bardzo odmiennych od moich. I w tem leży nikczemność czasów dzisiejszych, że prawie wszyscy czują nienaturalność tych urządzeń, a mimo to oddają życie własne dla ich utrzymania i rozszerzenia.

Na tem wyczerpałbym wszystkie urozmaicenia, jakie zaszły w naszem monotonnem życiu w Rateczach. Wracam więc do spraw osobistych.

Życie przechodziło mi spokojnie. Kupując świece, koniak i kiełbasę dla kamratów z naszej kwatery, uzyskałem od nich spokój, a nawet pewnego rodzaju uszanowanie. Naszym komendantem był jednoroczny Mader, w tym czasie cugsfirerem mianowany. Z zawodu nauczyciel, człowiek bardzo dobry i jedyny może Niemiec, który był sprawiedliwym dla innych. Przed frontem nigdy się nie unosił, nigdy nie wrzeszczał, nigdy nie użył słowa uchybiającego o żołnierzach nieniemieckiego pochodzenia. Lubili go też wszyscy i starali się pełnić służbę jak najlepiej, aby nie ściągnąć niezadowolenia z góry, którego część przeważnie spada zawsze na Komendanta.

Koło niego wieszał się Niemiec szeregowiec Stransky. Twierdził, że był już raz w polu i z tego powodu chciał imponować innym. Chłopczysko grube, choć młody, potrafił jeść cały dzień. Od gospodyni dostawał to ziemniaki z cebulą, to mleko do kawy, a że razem z nami spali trzej kucharze, wycyganiał od nich mięso i wszelakie przywki. Było wiadomo, że pewien Edler von Stransky, wszechniemiec, jest kapitanem na tym froncie. Nasz Stransky ciągle o nim wspominał, kryjąc się pod jego godność, ażeby nadać sobie więcej powagi. Nigdy wyraźnie nie powie-

skiał, czy przyznaje się do pokrewieństwa z Kapitanem, czy nie – widocznie chciał wbrew prawdzie to pokrewieństwo podać innym do wierzenia. Cuda opowiadał o sposobach zachowania się na froncie i o ~~spo~~ walce. Uważałem jednak, że tylko ci, którzy nie byli w pierwszej linii, umieją tak interesująco opowiadać. Ażeby się bodaj czemkolwiek odznaczyć, wytrzasnął gdzieś toporek, czyli „Beilträger" jaki w naszym regimencie nosili saperzy, gdy szeregowcy nosili łopatki i paradował z nim jako kandydat na szarżę.

Zupełnie inny typ przedstawiali trzej kucharze. Naczelnym był Ebner, jego zastępcą Langeder. Obaj nieco poważniejsi, wiecznie uśmiechnięci. Ebner miał włosy lśniąco czarne i lubił w niedzielę popołudniu wyelegantować się, ~~oraz~~ aby spacerować po Ratenczach, albo zajść do Bela Secz. Langeder w tym czasie wolał grać na ustnej harmonice jakiś spokojny taniec styryjski i wzywał innych, aby ~~ze~~ udawali partnerkę. Pląsały więc żołnierzyska w niedzielę popołudniu i to była ich zabawa. Trzeci Strambach, młody ładny chłopiec, nie mył się prawie nigdy i ciężko było patrzeć na jego szyję. Ponieważ na sztuce kucharskiej nie wiele się rozumiał, a do kuchni wkręcił się tylko dla uniknięcia ćwiczeń i kar, więc poruczano mu ranne gotowanie kawy, do czego trzeba było wstawać o dwie i pół godziny przed pobudką. Strambach nie lubił wstawać rano. Były też skutkiem tego codzienne sceny ze służbowymi, wskutek których my inni, śpiący razem ze Strambachem, prawie codziennie byliśmy budzeni około czwartej. Za to lubił grać w karty, w cobędź. Gdy się tylko wyrwał z kuchni, siadał za stół i wzywał innych do towarzystwa. Był też przedmiotem powszechnego natrząsania się, ale był lubiony, bo szczery i dobry. Prócz tego byli trzej chłopczęta, dziecinnego usposobienia, małego wzrostu, aż dziw, że to wzięto do wojska. Wyróżniał się spomiędzy nich wiecznie zakatarzony Rumetshofer przez to, że mimo tak młodego wieku i niepokaźnej postaci, nie wypuszczał z ust porcelanowej fajki.

Przychodził też do mnie dawny kamrat z Winterhollerplatz Plöderl Franz na pogawędkę polityczną. Ale nie tylko moja osoba, lecz i nasz piec był dla niego przynętą, więc właściwie przychodził także ogrzać się. Prenumerował dalej swoją „Reichspost" i mnie jej użyczał. W tym czasie wszczęła się w niemieckich gazetach dyskusya, co zrobić ze zdobytem Królestwem Kongresowem. Od czasu do czasu zapowiadano, że rozwiała się myśl nie dzielenia go lecz pozostawienia niezależnną całością, byleby udało się znaleźć rękojmię, iż ono nigdy przeciw Niemcom się nie zwróci. To zastrzeżenie wlazło Plöderlowi w głowę jak gwóźdź i niezas rozpoczynał ze mną rozprawy na ten temat. Niezas przerywał moje wywody wykrzyknikiem: „Aber Garanzien, mein Herr." Niezas żegnał się ze mną i dodawał: „Nur Garanzien." I tak biednemu robotnikowi z linckiej fabryki tytoniu nie dawały w dalekich Ratenczach spać obawy o to, żeby usamodzielnione Królestwo Kongresowe nie zechciało kiedyś odwrócić się od Niemców. Naprowadzając umiejętnie dyskusyę, wymacałem podkład jego duszy przy tych obawach, podkład prawdziwie godny Niemca. Zdaje mi się, że

ani przed sobą ani przed spowiednikiem nie potrafiłby był rozstrzygnąć, jakiej alternatywy pragnął goręcej: czy aby znalazły się tak cudownie pewne rękojmie, że Kongresówka nigdy się od Niemiec nie oderwie, a co za tem idzie, aby pozostała nierozdartą i autonomiczną, czy też ażeby szukanie tych rękojmi okazało się absolutnie daremnym trudem, a stąd żeby wynikła konieczność podziału Kongresówki.

Był to Niemiec chrześcijanin, ~~nie~~ a jako prosty człowiek szczery pojmował pewne idealistyczne hasła nawet w polityce, niemniej zaborczy instynkt ~~niemiecki~~ tkwił w nim ze pierwotną świeżością i cała ta troska o „Garanzieen" da się bardzo dobrze streścić w pytaniu: Kiedy germanizacya Polski jest bliższą i pewniejszą, czy przy podziale Kongresówki, czy przy wcieleniu całości do Rzeszy?

Drugi kamrat z Kompanii zapasowej kapucyński braciszek Klitzmüller był kucharzem w kuchni oficerskiej.

Przychodził też do mnie Jędruś Romek na pogawędkę „jak do ojca"; mój rówieśnik Łoziński ze Świejkowa w powiecie podhajeckim. Temu pisywałem listy do domu, za co chciał mi zawsze fundować. Raz na tydzień przyjmowałem od niego ćwiartkę wina, a za to po kilku dniach z rzędu fundowałem mu po pół litra, a tak nie naciągałem go, przyjmując jego grzeczność, co mu pozwalało potem żądać ode mnie dalszego sekretarzowania. Biedaczysko zostawił tam żonę i dzieci i tęsknił za domem w sposób rozpaczliwy. Kiedy się wojna skończy, to było jedyne jego pytanie.

Z Polaków wpadł mi w oczy tęgi rosły chłopak o zawadyackiej minie Stanisław Sterko z Krakowskiego. Wóz z drzewem przewracając się złamał mu niegdyś obie nogi, których porządnie nie wygoił. Miał też dotąd ropiejące rany i chodził ciągle do wizyty lekarskiej, aby mu chorąży odrywał przywarte opatrunki, ale mimo tego nietylko nie zwolniono go z wojska, ale nawet nie dano do szpitala. Za to bywał wolny od chodzenia na ćwiczenia. Ten stawał zawsze na pagórku przed naszym domem, trzymając w ustach małą fajeczkę i pstrykając śliną przez zęby i patrzył na plac. Niemcom mówił zawsze impertynencye krakowskim akcentem i oryginalnymi zwrotami, nie ruszając się, nie zmieniając postawy, tak: przez zęby i cybuch. Że zaś był rosły, nie szukali z nim zaczepki i choć widzieli, że to impertynencye, składali swoją cierpliwość na niezrozumienie polszczyzny. Chłopiec wyrośnięty, oryginalny z niewyparzoną gębą krakowskiego łobuza, aż rozkosz było słuchać jego urywanych uwag. Bo w jednym ciągu nie mawiał.

Do naszego plutonu należał zugsführer Leitner, jednoroczny nauczyciel, z twarzą chomika lub buldoga. Zły i wrzaskliwy nienawidził Polaków. Gdy ustawiał pluton zawsze wyzywał na „Pollacken", a ktokolwiek pomylił obroty, zawsze o to strofował Czecha lub Polaka, choćby niewinnych zupełnie. Z chęcią siadywał w naszej ciepłej izbie, chociaż był komendantem części naszego plutonu, umieszczonej na innej kwaterze. Mnie tolerował, ale tak się zapominał, że w rozmowie z innymi wygadywał na dziwną głupotę Polaków — gdy się spostrzegł, dodawał, że Polak intelligentny bywa zazwyczaj prawdziwie kulturalnym człowiekiem, ale zato Polacy z niższych stanów to dzicz głupia, brudna, nieokrzesana. Aby się na jakie szkaradzieństwo nie narazić, zaprosiłem go na wino i ubolewając nad tępotą moich współrodaków, zapytałem w czem głównie widzi dowód ich głupoty. Odpowiedział, że w nierozumieniu niemczyzny. Zaczem ja zafundowałem dalszy ciąg wina i pytam, czem jest w cywilu? Nauczy-

cielem. Aha! zatem człowiekiem inteligentnym. Poczem zapytałem, ile też zna obcych języków – żadnego. Korzystając z przewagi, jaką mi nadawało zapłacenie kilku kolejek wina, powiedziałem mu: „Widzisz więc. Ty jako człowiek inteligentny nie znasz żadnego innego języka, oprócz ojczystego, a chciałbyś, aiżby nieinteligentny Polak, mówił bez wykształcenia, władał, oprócz macierzystego, także i obcym, niemieckim językiem – czyli przypuszczasz, że nieoświecony Polak powinien więcej umieć niż inteligentny Niemiec." Zbaraniał mocno, ale się wyjął ochotę, abym mu jeszcze nieraz zafundował, nie wziął mi tego za złe. Stał się tylko nieco ostrożniejszym, ale pozostał dalej niesprawiedliwym.

Przychodzili ponadto do Madera dwaj jednoroczni plutonowi Schmoller, malujący lewą ręką udatne akwarelki i Schmied, chispcryna niejmiały, przypominający panienkę wzięciem się: obaj cugsfirery. Mimo manier spanienkizowanych Schmied miał ogromne wyobrażenie o swojej godności i jakiś przekonanie, że żołnierz powinni ze wszystkiego, co mają, składać mu dziesięcinę, albo wogóle całkowicie odstępować wszystkie nadzwyczajności. Mnie obkunał z tytoniu, mówiąc co prawda za każdym nowym papierosem: „Ich bin so frei", co odpowiada polskiemu: „mocno zobowiązany."

Schmied golarz ze Scharling, który tak przez całą drogę wykrzykiwał, pełnił funkcyę golibrody i zarabiał nieźle. Powołując się na to, że już był w polu, wykręcał się od ćwiczeń, a że golił oficerów, uchodziło mu to płazem. Blagował i zaraz z każdym zostawał na: „du und du." Dezoryentowało to mocno niektórych aspirantów, który jako kandydaci do stanu oficerskiego, uważali się za Bóg wie co. Opowiadał też ciągle o froncie i walkach i drwił ze wszystkich. Mnie szanował, bo mu za golenie płaciłem dwa razy drożej niż inni.

W ten sposób pieniędzmi i fundowaniem starałem się wytworzyć sobie znośne warunki życia w towarzystwie, które wedle chęci rządu austryackiego, miało być dla mnie, wyjętego spod prawa, prawdziwą galerą. I udawało mi się to całkowicie. Wiadomość, że jestem profesorem dyplomowanym dla francuszczyzny, wzbudzała wielki szacunek dla mnie. Wszyscy aspiranci i oficery studyowali niegdyś ten język i całkiem go nie umieli. Wnosząc po mojej niewinnej[?] wymowie, przypuszczali, że jestem spolszczonym Francuzem i to im imponowało, a mnie ułatwiało położenie. Aspirant Masny, Czech rodem, ~~ot~~ poliglotta lubił ze mną rozmawiać po francusku, przyczem okropnie drwił z kolegów i przełożonych, a ta rozmowa dodawała mi powagi w oczach reszty. Nie było więc moje położenie tak nieznośnem, jakby sobie zapewne życzyła wyższa komenda.

Że jednak sprawiedliwości dla Polaków nie było, przytoczę jeden przykład.

Gefreiter Kogut dostał rozkaz zaciągania nocnej warty przy magazynie, czyli był tz. Aufführer. Obowiązkiem takiego dygnitarza jest co dwie godziny odprowadzić żołnierza dla pluzowania dawnego. Co w międzyczasie robi, to nikogo nic nie obchodzi. Z natury obowiązków wynika jednak, że spać nie może. Otóż Kogut, odprowadziwszy żołnierza, wrócił do szopy i usiadł sobie przy piecu. Kiedy go sen zmorzył, żołnierze Niemcy, o przepisanej godzinie, zostawili go

śpiącego, a ten, ~~kt~~ na którego przychodziła kolej, poszedł sam na wartę zastąpić kamrata, który odstał swoje dwie godziny. Zaszły tu trzy przekroczenia dyscypliny. Kogut popełnił jedno przez zaspanie. Żołnierz pierwszy popełnił przekroczenie, że bez kierownika sam poszedł na zluzowanie warty. Żołnierz stojący na warcie popełnił największe przekroczenie, że bez rozkazu, wydanego przez kierownika, pozwolił się zejść ze stanowiska i odstąpić je drugiemu. Ponieważ wszelkie warty bierze się pod osąd w znaczeniu, jakiby ten wypadek mógł mieścić niebezpieczeństwa w obliczu nieprzyjaciela, żołnierz stojący na warcie byłby sądzony za usterkę, bo ten kolega, który się wymyka bez kierownika może bardzo łatwo stać na służbie wroga.

Mimo, że Kogut obudziwszy się, przeprowadził dalsze zmiany warty bez usterki, żołnierze z niechęci do Polaka zanieśli skargę przed Komendanta batalionu. Kogut stanął do raportu, a z nim ja jako tłumacz. Bronił się dość źle, więc ja tłumacząc jego odpowiedzi dosłownie, dodawałem własne uwagi, jako niby jego słowa i kładłem nacisk, ~~że~~ na to, że wszyscy zawinili. Była przy tem osobliwa historya z zegarkiem, który stanął. Drzemiący Kogut obudził się w krytycznej chwili na czas, popatrzył na zegarek i zobaczył, że ma jeszcze półtorej godziny czasu, ale dla pewności zapytał Hiesla, żołnierza, na którego kolej przychodziła i który czuwał, o godzinę, a Hiesl, gotujący się już na wymknięcie się poza plecami Koguta, potwierdził, że zegarek Koguta pokazuje dobrze. Te wszystkie momenty naprowadziłem i podniosłem na dowód, że była to złośliwa zmowa przeciw szarży, że żołnierz idący na zluzowanie powinien był Koguta obudzić, albo przynajmniej nie okłamywać, kiedy ten powziął wątpliwości w regularny chód swojego zegarka. Nie postawiono oskarżycieli Kogutowi przed oczy, bo sądu nad szarżami nie robi się w obecności szeregowców i Kogut sam jeden dostał 14 dni obostrzonego więzienia, przyczem za dnia musiał chodzić na ćwiczenia o chlebie samym. Innym współwinnym nie stało się nic, spotkało ich nawet uznanie, że nie zataili zaniedbania szarży. Ba! ale ten szarża był tylko Polakiem.

Ale wracam do siebie. Jednego razu podczas marszu na ćwiczenia w ranny, trzaskący mróz, pośliznąłem się w pełnym rynsztunku i upadłszy na siedzenie, zbiłem sobie mocno kość. ~~Chci~~ Musiano mnie podźwignąć, bo w tem opakowaniu trudno się i młodszemu podnieść. Chciałem iść dalej, mimo dorady aspiranta Pokornego, abym wrócił, tak że nakoniec krzyknął: „Ich befehle dir umzukehren." Nie było co robić, tylko słuchać. Zostawiono dla opieki nademną kulawego trębacza, z którym przywlekliśmy się do Ratecz. W myśl otrzymanego rozkazu poszedłem nazajutrz do tz. „Marodenwizyty."

W brudnej ciasnej chałupinie, wśród smrodu jodoformowego odbywała się ta ceremonia, poprzedzona inną, iście austryacką, mianowicie czekaniem w zimnej sieni. Służbowy zgromadził wszystkich „marodów" i odprowadził tam o pół do ósmej, a pan chorąży sanitarny przychodził najwcześniej o dziewiątej. Kaszlący starzy, pobandażowani na rękach lub nogach młodzi stali i stali w zimnej sieni. Gdy poczynali żywiej gwarzyć, sanitariusz kapral lub firer otwierał drzwi i wrzeszczał. Ale i jak zwykle.

Wreszcie, gdy p. Chorąży (Jędryk z polska) zjawił się, wywoływano nazwiska, a wezwany wchodził do izby.

W izbie pod ścianą leżeli na pryczach chorzy gorączkujący, pożerani żywcem przez wszy. Dla badania zostawał niewielki kąt, zawalony pakietami waty i bandażów. Gdy chorąży badał jednego, drugi już musiał się rozbierać. Z czemkolwiek kto przyszedł, zawsze był osłuchiwany i opukiwany po piersiach, ale choć wielu miało widoczną wadę serca, a prawie wszyscy bronchitis, opukiwanie to nie przynosiło im żadnych zarządzeń, ~~jak~~ pożądanych, jak uwolnienie od wojska, przeznaczenie do służby kancelaryjnej lub bodaj odesłanie do szpitala. Była to więc tylko ceremonia.

Ja przyszedłem opowiedzieć przygody mego pośladka, którego nie pokazałem, ale za to zbadano mi dla ciekawości serce i płuca. Wysłuchawszy opowiadania, chorąży podyktował pisarzowi: Zwei Tage dienstfrei. Ubrałem się ponownie, a gdy ten zobaczył paski na rękawach, zapytał:

— Sind Sie Einjähriger?

— Ja wohl Herr Fähnrich.

Więc zwróciwszy się do pisarza powiedział:

— Streichen Sie das Geschriebene: Vier Tage dienstfrei.

Na! Przecież raz moje odznaki jednorocznika na coś się przydały.

Od tego dnia poprostu przestałem chodzić na ćwiczenia. Po wyczerpaniu czterech ~~dni~~ wolnych, mianował mnie „dienstführender" aspirant Moritz „Tagcharge'ą" czyli kapralem od dnia, później miałem wolne w wynagrodzeniu za nieprzespaną noc, a potem znowu rychło wracano do mnie, jako do służbowego szarży.

Dojrzałem wkrótce, że było to celowe oszczędzanie mnie, a do dziś nie jestem pewny, czemu je przypisać – czy gorliwości Moritza, czy rozkazowi z góry? Moje częste ustawanie podczas uciążliwych marszów mogło zastraszyć komendanta batalionu albo pułku i podać w wątpliwość, czy potrafi ~~do pro~~ zaprowadzić mnie w okopy. A nuż tymczasem rozchoruję się i odejdę do szpitala? Lepiej więc oszczędzać starego, a zaprowadzić koniecznie do szańców, bo taki rozkaz dał feldmarszałek. Tam kulka włoska może zlitować się nad austryackim rządem i odebrać mi życie, a z niem zmazać wszystkich bezprawi, jakich się na mnie dopuszczono. Jest to prócz tego jeszcze specyalna austryacka satysfakcya: kazać na cześć Niemiec przelewać krew temu, który najmocniej nie życzył sobie niemieckiego zwycięstwa. W Rateczach byłem święcie przekonany, że to oszczędzanie pochodzi z wyższego rozkazu.

Służba „tagcharge'y" nie jest ciężka. Po południu, gdy trębacz wygrał hasło: „Wache antreten," służbowi batalionu ubierali pasy z patrontaszami i szli przed odwach. Przychodziła tam warta i pogotowie (Wache i Bereitschaft). Formowali się frontem do chałupy, służącej za odwach, a o trzy kroki w tyle za nimi stawali służbowi oddający i odbierający służbę, w porządku, oznaczonym przez numera kompanii.

Zaciąganie nowej warty jest w austryackiem wojsku największą paradą żołnierską. Coś z tej paradowości było i w Rateczach, ale, że straż obejmowała tylko odwach, była to parada bez chińszczyzny, jaka się praktykuje w wielkich garnizonach, gdzie

wystawia się mnóstwo oddziałów straży, jak odwach, prochownia, honorowe posterunki, magazyny itd.

Gdy więc zjawił się oficer, aspirant, kierujący strażą, krzyczał „Habt acht” i „Rechts schaut”, potem składał meldunek. ~~Następ~~ To obowiązywało cały oddział. Następnie komenderował osobno na straż, żeby odeszła kilka kroków dalej i ustawiła się ponownie pod wodzą swego kaprala. Potem ta sama komenda dla pogotowia pod wodzą plutonowego. Była to więc mała rewia ~~prz~~ sił przed oficerem. W garnizonie wszystkie oddziałki rozmaitych gatunków straży przechodzą przed oficerem, tutaj ich więcej nie było.

Wtedy ta straż, która skończyła swoją 24 godzinną służbę, wychodziła z chałupy, a na jej miejsce wchodził oddział nowy. Natychmiast przewodnik wyprowadzał wartownika przed dom, aby zluzować dawnego, który zabrawszy rynsztunek z chaty, przyłączał się do własnego oddziału. Potem komenda, aby stara straż szła do domu i ta sama komenda dla pogotowia. Plac przed odwachem opustoszał, tylko nowy żołnierz na posterunku chodził popod ścianą.

Zaczęły się więc od końca stycznia dla mnie dni spokojne. Mimo mycia się nago pod studnią rano, aż para buchała ze mnie jak z przeciąganego konia, mimo wypoczynku i długiego spania, nie orzeźwiałem nigdy. Od krzyżów aż do stóp czułem ciągle tępy, uparty, przytłumiony ból w artretycznych nogach i ogromną ociężałość myśli. W wolnych chwilach, a było ich odtąd dosyć, czyniłem spostrzeżenia, na których zapisanie brakło mi ochoty, i znajdowałem motywy do szkiców, obrazków, nowel z życia wojskowego i cywilnego, ale na ich obmyślenie, ujęcie i spisanie brakło mi zmysłu i chęci.

Przychodziły tylko czasami nagłe wzruszenia. Matka przysłała mi medalik z Matką Boską niepokalaną i z Jej monogramem na drugiej stronie, a choć ta przesyłka ~~prz~~ dała mi ujrzeć całe poniżenie, w jakiem się znajduję, wzruszyłem się nadmiernie. Ten medalik „poświęcany dla wojaka” stawiał mi przed oczy jedno, że ja profesor, poeta, redaktor i literat jestem dziś akurat to samo, co jakiś Wojtek czy Jasiek Ogryzoczyszczyn lub Lejbszyn, a co najgorsze, że Matka i Siostra, tak dumne niegdyś ze mnie i tak zżyte na hierarchię społeczną, w której dla mnie wyznaczały najwyższe miejsce, teraz tem mocniej to poniżenie odczuwają. Niemniej jednak na tym smutnym symbolu poniżenia są zaschnięte łzy gorzkie Matki i Siostry, a obok też najszczersze, najgorętsze życzenia i błogosławieństwa. Wiedziałem, że stara Matka zamieniła się po prostu w jedną modlitwę na moją intencyę i co najważniejsza, że w skuteczność niechybną tej modlitwy, powtarzanej i z pod serca dobywanej dniem i nocą, głęboko wierzyła. Do śmierci wierzyła, żem uniknął śmierci tylko wskutek tej nieustającej i do najwyższego stopnia zapamiętania napiętej modlitwy podczas całego mojego pobytu na froncie. Jak mi biedactwo wyrzucało po wojnie, żem prosto z Włoch nie zajechał do niej, która przez swoje macierzyńskie roztopienie się w nieustającej modlitwie, utrzymała mnie przy życiu wśród tylu bitew!...

Wiedziałem o tem zapamiętaniu się Matki, to też medalik wzruszył mnie

i roestroĩ.

$$\frac{1}{4x+3} = \frac{15}{8x^2+6} - \frac{1}{x}$$

$4x+3,\ 8x^2+6,\ x \mid$ [illegible]

$$\frac{x(8x^2+6)}{x(4x+3)(8x^2+6)} = \frac{15 (4x+3) - (4x+3)(8x^2+6)}{\text{ditto}}$$

$8x^3+6 = 60x^2 + 45x - (32x^3 + 24x^2 + 24x + 18)$

$8x^3+6 =$ ~~$60x^2 + 21x - 24x^2 - 18$~~ $60x^2 + 45x - 32x^3 - 24x^2 + 24x + 18$

$40x^3 + 36x^2 + 69x = 12$

$x(40x^2 + 36x + 69) = 12$

$\frac{1}{4x+3} = \frac{15}{}$

$$\frac{2(x-1)}{9}+\frac{x+5}{18}=\frac{1}{3}$$

$$\frac{4x-4}{18}+\frac{x+5}{18}=\frac{6}{18}$$

$$5x+1=6$$
$$5x=5$$

$$\frac{0}{9}+\frac{6}{18}=\frac{6}{18}$$

$$\frac{3x-8}{7}=7-\frac{5x+21}{27}$$

$$27\cdot 7=189$$
$$27\cdot 8=216$$

$$\frac{81x-8}{189}=\frac{189-35x-147}{189}$$

$$116x=197-147=50 \quad 189\cdot 7=1323$$

$$x=\frac{50}{116}=\frac{25}{58}$$

$$\frac{81x-216}{189}=7-\frac{35x+147}{189}$$

$$81x-216=1323-35x-147$$
$$81x+35x=1539-147$$
$$116x=1392$$
$$x=1392:116=12$$

116
=232
132

$$\frac{36-8}{7}=7-\frac{60+21}{27}$$

$$\frac{28}{7}=7-\frac{81}{27}$$

$$4=7-3$$

$$\frac{1}{4x+3}=\frac{15}{8x^2+6}-\frac{1}{x}$$

$$\frac{12}{5x-2}-\frac{20}{15x^2-6x}=\frac{5}{10x^2-4x}$$

$4x+3,\ 8x^2+6,\ x$

$4x+3,\ 2x(4x+3),\ x \mid 4x+3$

$1,\ 2x,\ x \mid x$

$2 \quad 1$

$2x(4x+3)$

$$\frac{2x}{2x(4x+3)}=\frac{15}{2x(4x+3)}-\frac{2(4x+3)}{2x(4x+3)}$$

$$2x=15-8x-3$$
$$10x=12$$
$$x=\frac{12}{10}=\frac{6}{5}$$

$$\frac{1}{\frac{24}{5}+3}=\frac{15}{\frac{288}{25}}-\frac{1}{\frac{6}{5}}$$

$$\frac{1}{\frac{24+15}{5}}=\frac{15}{\frac{288}{25}}-\frac{1}{\frac{6}{5}}$$

$$\frac{1}{\frac{120+75}{25}}=\frac{15}{\frac{288}{25}}+\frac{1}{\frac{30}{25}}$$

~~36-8~~

$$\frac{1}{195}=\frac{15}{288}-\frac{1}{30}$$